



KP.
20.03.13

Melissa Galosh von Hunter "Dzień z życia sprzedawczyni"

Fahrenheit Crew

Życie niektórych studentów to pasmo imprez na koszt hojnych rodziców, innych to pospieszne zakuwanie w autobusie podczas drogi do pracy. Podłej pracy, gwoli ścisłości, ponieważ student doświadczenia nie ma, więc ma do wyboru miotłę i miotłę. Nie zamierzam tu zresztą postulować, by dawać młodym ludziom dyrektorski stołek na czas pracy dorywczej. Kiedyś i ja także szukałam czegoś dla siebie, a ponieważ sprzątać nienawidzę, smrodu restauracji McDonald's jeszcze bardziej, więc postawiłam na sezonową karierę sprzedawcy w niewielkim sklepie galanteryjnym. I to był strzał w dziesiątkę. Miejsce było ciche, klientów niewielu, więc po zaaranżowaniu półek sklepowych zostawało sporo czasu na czytanie książek. Tak mniej więcej co rozdział wpadał jednak klient lub klientka, a że, jak już wspomniałam wyżej, miejsce było ciche i przytulne, to skłaniało do zwierzeń i różnorodnych wynurzeń. Po dwóch miesiącach miałam pewność, że praca sprzedawcy tym tylko się różni od funkcji barmana, że na ladzie, przed klientem, leży torebka, bądź oglądana właśnie parasolka, a nie stoi kufel z piwem. Poza tym i barman, i ekspedient to zdaniem klientów rodzaj terapeuty - wolontariusza. A do tego okolica jakaś taka chyba zaklęta była, bo co klient, to większy oryginał.

Wpadła pewnego dnia paniusia, wymruczała pod nosem coś, co od biedy można było uznać za powitanie, i zaczęła się rozglądać nerwowo.

- Dzień dobry. W czym mogę pani pomóc? - zapytałam uprzejmie.

Paniusia zogniskowała na mnie spojrzenie, więc uśmiechnęłam się zachęcająco, a ona w tym czasie nabrała mnóstwo powietrza w płuca.

- Wie pani, szukam prezentu dla synowej, skaranie boskie z nią i z tym synem. Ja nie wiem, te moje dzieci po Igrekowskim to jakieś takie normalne, a te po Iksińskim? Kundle! Pani kochana, szkoda nawet gadać. Gdzie ja oczy miałam, jak tego chłopca brałam? Że pijak, to jeszcze nic, ale jak do sąsiadki zaczął zaglądać, to mi wstydu na cały blok - a co tam na blok! - na całe osiedle narobił. No i ten syn to po nim niewydarzony taki, to i głupią żonę sobie wziął. Pani wie, co oni ostatnio wymyślili? Pralkę mi kupili, proszę pani. Jak oni mieli czelność mi wypominać, że stara jest do niczego? Niech no mi pani da jakąś brzydką parasolkę!

- Zzapakować? - wyjąkałam nerwowo.

- Poproszę - zgodziła się łaskawie.

Działo się to wszystko osiem lat temu, więc polityka często gościła w przytulnym sklepie. Szczególnie tuż po tym, gdy Kaczyński pokonał Tuska w wyścigu do prezydenckiego fotela. Przygnębiona tym faktem, dzień po ogłoszeniu wyników, otworzyłam jak zwykle sklep i zamiotłam podłogę. Nie upłynęło dużo czasu i do środka weszła klientka.

- Dzień dobry! Ja sobie na razie popatrzę - zbyła mnie.

- Bardzo proszę - odparłam grzecznie.

Nie minęła minuta, gdy do sklepu weszła kolejna klientka, a za nią jeszcze jedna. No, rzecz zdumiewająca. Nigdy wcześniej nie widziałam tu tylu osób jednocześnie. Obie nowo przybyłe, jedna

dość okazałych rozmiarów, przywitały się grzecznie i - podobnie jak pierwsza - chciały się rozejrzeć. Nie odzywałam się więc, nie chcąc się narzucać, i w sklepie zapanowała kompletna cisza. Stan ten trwał kilka chwil.

- Pojęcia nie mam, kto na tego Kaczyńskiego głosował! - nie wytrzymała klientka słusznych rozmiarów.

- I ja się zastanawiam - zawtórowała jej druga, patrząc się na mnie wymownie.

- Nie, nie! Ja na Tuska! - zapewniłam gorliwie.

Ta pierwsza, dotąd stojąca tyłem do nas, musiała chyba wyczuć nasze palące spojrzenia na plecach, bo odwróciła się bardzo wolno i uśmiechnęła niepewnie.

- No patrzcie, kobity. Cała opozycja nam się w sklepie zebrała!

Każdy, kto kiedykolwiek pracował w sklepie czy punkcie usługowym, wie doskonale, że akwizytorzy i naciągacze są prawdziwą plagą i utrapieniem. Do akwizytorów nic nie mam, próbują w końcu zarobić, choć nie da się ukryć, że mogliby w końcu pojąć rzeczywiste znaczenie słowa „nie”. Naciągaczy nie znoszę, bo i zresztą jak ich lubić? W krótkim czasie nauczyłam się rozróżniać typy naciągaczy i wiedziałam, że z każdą kategorią należy postępować w inny sposób. Widząc w drzwiach barwnie ubraną Cyganekę, należało w nich stanąć, blokując przejście, i z tego miejsca stanowczo podziękować za wróżbę. Po rzuceniu klątwy śmierci odchodziła niechętnie. Sprytnie paniusie, które prosiły o parasolkę za darmo (bo jutro pogrzeb wujka/ojca/męża), informowałam z punktu, że mogę wypożyczyć na dowód. Jakoś żadna nigdy nie skorzystała. Najgorsza sprawa była z pijaczkami, bo nie dawali się łatwo spławić. Pół biedy, jeśli wprost mówili, że potrzebują na wino. Dostawał taki 20 groszy i odchodził w siną dal. Gorzej, jeśli przychodził i opowiadał rzewną historię, rozsiewając po niewielkim pomieszczeniu odór przetrawionej gorzały. Taki jeden pijaczek pojawiał się co kilka dni i chyba nawet nie do końca kojarzył, że prosi po raz kolejny.

- Pani kochana, złociutka! Ulituj się nad ojcem biednym. Syna jedyne mi samochód przejechał, na pogrzeb nie mam - szlochał, potęgując alkoholowe opary.

I jakoś się tak złożyło, że przychodził co kilka dni, opowiadał kolejny wariant śmierci jedyne syna, a ja mu dawałam jakąś drobną monetę. Pomysłowy był, tego mu odmówić nie można. Syn się topił (w styczniu), wpadał pod tramwaj, płonął wraz z całym domem, a raz nawet nowotwór go wykończył. Zaczęłam się w końcu zakładać z ekspedientką pracującą w sąsiednim sklepie, co tym razem pomysłowy tatuś wymyśli. No i wymyślił.

- Pani kochana, szefowo jedyna - zaczął jak zwykle. - Poratuj pani biednego złotóweczką. Syna mam chorego ...

- Zmartwychwstał? - zapytałam niewinnie, po czym eksplodowałam homeryckim śmiechem.

Pijak, zbity z tropu, kompletnie nie rozumiejąc, zamrugał ze zdumieniem i wziął się pod boki.

- Ładnie tak z cudzego nieszczęścia żartować? - powiedział i odwrócił się w stronę drzwi. - Wariatka!
- wrzasnęła na odchodne.

Jakimś cudem powstrzymał się od pogardliwego splunięcia na podłogę. A ja tarzałam się ze śmiechu na ladzie i miałam nadzieję, że nikt nie wejdzie. Co ciekawe, pijaczek już nigdy nie wrócił, a ja prawie żałowałam. Inna sprawa, że na otarcie łez kolejne indywidua umilały mi życie. A najbardziej klientki z kategorii „nawiedzona”. Dużo jest takich, nawet nie miałam pojęcia, jak wiele. Jedna

wpadła kiedyś w momencie, gdy właśnie wyszłam zza lady i wybierałam się na maleńkie zaplecze.

- Jezus Maria! - wrzasnęła zamiast powitania.

- Co się stało? - zapytałam spłoszona.

- Matka Boska w dzinsach nie chodziła! - wrzasnęła, wskazując oskarżycielskim gestem na moje spodnie.

- Ale ja nie jestem Matką Boską - zaprotestowałam. - Nawet nie jestem z nią spokrewniona - dodałam na wszelki wypadek.

Do wariatów trafiają wyłącznie wariackie argumenty, ale tym razem chyba nie trafiłam.

- Ty jesteś wyhodowana, a nie wychowana! - wrzasnęła baba i wyszła, trzaskając drzwiami.

Czyli w sumie podziałało. Nic natomiast nie podziałało na inną nawiedzoną, która, kupując śnieżnobiałe rękawiczki skórzane, próbowała mnie zmusić do napisania odręcznego zaświadczenia, że rękawiczki się nie pobrudzą. Ostatecznie, rzecz jasna, transakcja nie została sfinalizowana. Ale i tak najlepsza była jedna taka, która wpadła i od progu zażądała:

- Potrzebuję taką torebkę, jak ma pani na wystawie, ale nie czerwoną, tylko zieloną, nie dużą, tylko małą i nie ze skóry licowej, tylko z zamszu!

Melissa Galosh vun Hunter